

WSPOMNIENIA SYBIRACZKI !

Dnia 10 lutego 1940r w mroźny poranek w miejscowości Strzałki powiat Bóbrka woj. lwowskie o godz. 6-tej rano zastukano mocno do drzwi mieszkania rolnika /12 ha ziemi, mojego ojca /56 lat/. Ojciec poszedł otworzyć drzwi i powrócił do mieszkania w towarzystwie uzbrojonych żołnierzy radzieckich. Spędzono wszystkich z łósek pod pretekstem szukania broni, której oczywiście nie znaleziono. Wówczas oznajmiono nam, że wszyscy mamy zbierać się. Padło pytanie dokąd? Usłyszeliśmy na to odpowiedź, że "prześiadamy Was do drugiego województwa". Zdrętwieliśmy, ręce nam opadły; trudno było skupić myśli. Staliśmy zszokowani oraz bezradni. Do opuszczenia domu dano nam 1 godzinę czasu. Znajomy ukraińiec, który towarzyszył żołnierzom, pobudził nas do działania; widział zabierać żywność i osobiste rzeczy. Pomógł bratu /17 lat/ zabić świnię, z której usunięto wnętrzności. Brat dodatkowo zabił dużą drobiu, kaczkę, kury /cały worek/ 200 kg maki pszennej żyłowej, 50 kg fasoli.

W ciągu godziny wzięto rozpaczy i łez straciliśmy dorobek całego życia rodziców - tj. gospodarstwo <sup>12 ha ziemi</sup> z wszystkimi zabudowaniami, z inwestycjami warty i wywym 6 krów, 3 konie drob iop. Naszymi kołmi na saniach zawieszono nas do szkoły gdzie zastaliśmy grupę przetransportowanych rodzin z małymi dziećmi i starcami.

Wyczytano wszystkie nazwiska i pod ochroną "honorową" żołnierzy uzbrojonych w karabiny ręczne kawałkami ruszyła w kierunku stacji kolejowej /7 km/ Bóbrka-Chlebowice gdzie stał specjalnie dla nas przygotowany pociąg towarowy. W wagonie otwór klozetowy zasłonięty dyktą i mały żelazny piecyk w wystającą rurą. Ściany niezbyt szczelne.

Do wagonu weszło 5 rodzin. Zopatrzyliśmy się w ówczesną, które akurat leżało przy naszym wagonie. Mak, i reszła polecono pójść do wagonu bagażowego, z czego odebraliśmy potem tylko pół worka maki.

Po wprowadzeniu wszystkich do wagonu drzwi od zewnątrz zostały zamknięte długą żelazną sztabą. Nad zastawcami na Syberię obok stała część wojskowa.

Pierwszym przystankiem dla pociągu był Lwów gdzie nikogo z rodzaków nie dopuszczono do transportu. Dostarczono nam herbatę z urzędu.

Na małym piecyku wisiał się tylko jeden garnek. Naszymi zapasami żywności dzieliliśmy się z towarzyszącymi niedolami, którzy nie mieli co jeść. Na trasie podróży czasem otrzymywaliśmy skąpe przydziały chleba, czasem zupę /lura/ i wodę gotowaną nie każdego dnia.

Na polskich terenach nasi kolejarze dodawali nam otuchy mówiąc: "Nie martwcie się, my za 3 miesiące przyjedziemy po was do granicy".

← Myśliliśmy taką nadzieję i ta wiara ratowała nas przed absolutnym

załamaniem psychicznym. Przy bardzo niskiej temperaturze nie było możliwości rozebrania się ani umycia. Trasa kolejowa wiodła przez Ufę, Czelabińsk, Omsk, Nowosybirsk, Tomsk do Krasnojarska. Jechaliśmy przez ogromny kraj w większości ludzi ubogich, bezlitośnie wykorzystywanych jako siłę roboczą, wystraszonych i prześladowanych do granic wytrzymałości. Na Uralu gdy pociąg zwolnił gromadka obszarpanych, wynędzniałych i głodnych dzieci podbiegła prosząc o chleb. Czasem ktoś rzucił kromkę na śnieg. Chleb ten wrywano sobie z rąk. Widok ten wpłynął na nas zbyt przygnębiająco. Warunki urągające minimalnym potrzebom istoty ludzkiej dłużyły się w nieskończoność. Co dzień modlitwy i pieśni nabożne płynęły przerywane bolesnym łkaniem. Marzyliśmy o ciepłym kącie i kąpieli. W tak tragicznych warunkach dojechaliśmy do celu po 23 dniach tj. 5 marca 1940r. Na terenie Krasnojarska przy ponad 30 stopniowym mrozie wyprowadzono nas na stacji Maganek. Zamarzyło dwoje niemowląt /8-mio i 4-ro miesięczne dzieci/. Matka młodszego niemowlęcia Józefa Bałuk mieszka obecnie w Jaworzynie Śląskiej /kod 58-140/ ul. 1 Maja 50 IIp. Wkrótce po dziecku straciła młodego męża. Zmarł na tyfus. Z tego transportu nie wszystkich wysadzono na w/w stacji. Zapasy żywności wyczerpały się. Rzeczy osobiste złożono na sanki jednokonne i pieszo szliśmy 12 km do Jerłykowki tj. małej osady zesłańców rosyjskich z 1920 roku. Zostaliśmy podzieleni na 4 grupy do różnych miejscowości. Nasza grupa została najbliżej stacji. Ostatnią grupę zawieziono 24 km w głąb tajgi gdzie nie było nic oprócz baraku. Tam zmarło <sup>osob</sup> najwięcej z głodu, braku witamin, wyczerpania, przeziębienia i pracy ponad siły. Kto nie wykonał normy zmniejszono mu przydział chleba przy i tak głodowej racji normalnego przydziału 60 ~~kg~~ <sup>kg</sup> dziennie dla pracującego. W Jerłykowce weszliśmy do dużego baraku /7 rodzin/ bez ścianek działowych do ogólnej sali dla wszystkich. Przed barakiem w zawieszonym kotle gotował się dla nas "czaj" /gotowana woda/. Wieczór po rozgrzaniu się gorącą herbatą ułożyliśmy się do spania na drewnianych ławach. Na środku stał długi stół i 2 piece do ogrzewania i gotowania. Na ścianie były 2 lampy naftowe. Po zgaszeniu lampy jednak nie dało się spać, bo zaatakowały nas pluskwy. Po zaświeceniu zobaczyliśmy, od nich dosłownie całą poduszkę czarną; wuciekały więc i lampy nie gaszono. W drugim dniu poszliśmy do bardzo prymitywnej łaźni, ale była gorąca woda. W osadzie byliśmy oddani pod opiekę komendanta w mundurze wojskowym, który jeździł na koniu wierzchem z rewolwerem przy pasie. Zakomunikował nam, że nie wolno nigdzie oddalać się bez przepustki. Wypoczywając po trudach podróży marzyliśmy o powrocie do kraju, nie przypuszczając, że jest to zbyt odległe w czasie. W tej osadzie o około 30 domkach był mały sklepik i piekarnia, biuro naczelnika przemysłu



leśnego i kilku brygadzystów. Jedna jedyna nauczycielka uczyła nas w prywatnej izbie po rusku.

Miejscowa ludność bardzo nam współczuła, ponieważ ich spotkał ten sam los 20 lat przed nami. Wyłączeni z własności byli zesłani i porzuceni w tajdze na śnieg" gdzie nie było baraku, ani żadnego domu. Wiele osób starszych i dzieci zmarzło, a którzy przeżyli to wybudowali sobie domki drewniane, tworząc osadę. Opowiadali nam to wszystk~~o~~ przez łyzy. Młodzież miejscowa przychodziła codziennie do naszego baraku, będąc spragniona wiadomości i kontaktów ze światem, zupełnie dla nich obcym.

Po 3-ch dniach wypoczynku przyszedł do nas naczelnik z brygadzystami i powiedział abyśmy szli do pracy, bo "Polska jest zakopana 12 m. pod ziemią", a my już tu pozostaniemy. Nosił polskie nazwisko Kopaczewski. Tam liczyło się wyłącznie na własne siły, aby żyć. Zabraliśmy się do pracy w lesie. Moja 15-letnia siostra różnęła piłą zwykłą drzewo wraz z koleżanką. Z uwagi na to, że nogi jej bardzo marzły, powróciła wcześniej do domu, za co przez 6 miesięcy potrącano jej 25% z wynagrodzenia, chociaż bardzo marnego. Wykorzystywano nas jak ciężkich przestępców. To był dopiero wyzysk człowieka przez człowieka. Po pewnym czasie mój Ojciec /56 lat/, brat /17 lat/ i siostra oraz inne brygady zostały odesłane w głąb tajgi do pracy w odległości 18 km od domu. Był tam jeden barak, a pracowali od rana do wieczora. Po tak ciężkiej pracy musieli sobie sami gotować jakąś zupę i herbatę bez cukru z łydy czarnej pończeczki lub maliny. Tam można był~~o~~nabyć na kartki trochę kaszy, czasami śledzie, a bywał i spirytus bez karteek. Nie było żadnego kiosku z warzywami.

Pamiętam jak raz w Wielki Piątek poszłam z sąsiadką do jednej rosjanki z prośbą o sprzedanie ziemniaków, Nabyliśmy je po małym wiaderku, ale to w tajemnicy przed innymi, bo sama nie wiele ich miała. Bardzo cieszyłam się, że na Wielkanoc mieliśmy zupę ziemniaczaną; „to dopiero była uczta.” Jeśli ktoś zachorował i poszedł do felczera /lekarza ani apteki nie było/. Ten sympatyczny staruszek z humorem wypisywał nam 25 dkg cukru i 25 dkg kaszy jęczmiennej, śmiejąc się przy tym, bo taka była metoda leczenia nas? Latem, które trwało 3 miesiące uciekliśmy wszyscy na strych przed pluskwami. Pierwszą noc dobrze spaliliśmy, ale już następnej nocy pluskwy spadały nam z dachu na twarze. ("Nie było spokoju pod oliwkami"). W dzień nękały nas chmury drobniutkich muszek, zaś po ugryzieniu, a raczej ukłuciu przez nie, ciało nam bardzo puchło i to bolało. Siostra miała pokłute całe policzki i tak zapuchła, że przez kilka dni nie mogła widzieć na oczy. Robiłam jej okłady ze spirytusu. Potem policzki pokryły się strupem.